

Miroslava Aleksandrova-Kampa

Bartosz Borek

Natalia Kepesz

**Sammlung polnischer Texte
aus der Zeit nach 1989**

Inhaltsverzeichnis:

| | |
|--|----|
| Einleitung | 2 |
| 1. Stasiuk, Andrzej: <i>Jak zostałem pisarzem (próba autobiografii intelektualnej)</i> | 4 |
| 2. Nahacz, Mirosław: <i>Osiem cztery</i> | 7 |
| 3. Staszewski, Kazik: <i>Cztery pokoje</i> | 8 |
| 4. Turnau, Grzegorz: <i>Cichosza</i> | 10 |
| 5. Stuhr, Maciej: <i>Parodia Krakosza</i> | 11 |
| 6. Klata, Jan: <i>Weź przestań</i> | 13 |
| 7. Tomasz Różycki: <i>Dwanaście stacji</i> | 16 |
| 8. Joanna Orska: <i>Liryczne Narracje-nowe tendencje w poezji polskiej 1989-2006</i> . | 18 |
| 9. Dorota Masłowska: <i>Wojna polsko-ruska pod flagą biało-czerwoną</i> | 20 |
| 10. Lipska, Ewa: <i>Kiedy w moim kraju umiera wielki poeta</i> | 25 |
| 11. Frączek, Agnieszka: <i>Byk jak byk</i> | 26 |
| 12. Mazurek, Robert: <i>Manifest rencisty</i> | 28 |
| 13. Młynarski, Wojciech: <i>Gdy już ostatni raz</i> | 29 |
| 14. Kopkiewicz, Aldona: <i>Lubię modę, jestem moda-czyli jak być en vogue</i> | 30 |
| 15. Blog: Eintrag <i>lato</i> vom 24.06.2009 | 33 |

Einleitung

Bei den Parlamentswahlen vom 4. und 18. Juni 1989 gewann das „Bürgerkomitee Solidarność“, die politische Organisation der Gewerkschaft Solidarność, sämtliche 160 freigewählten von insgesamt 460 Sitzen im Abgeordnetenhaus sowie 99 von 100 Sitzen im neugebildeten Senat. Tadeusz Mazowiecki wurde zum ersten nichtkommunistischen Ministerpräsidenten Polens seit 1945 (sowie zum ersten nichtkommunistischen Regierungschef im Warschauer Pakt) gewählt – von den 23 Mitgliedern der Regierung waren nur vier Kommunisten. Seit 1989 wurde die polnische Wirtschaft nach dem Balcerowicz-Plan mit schnellen Schritten in eine funktionierende Marktwirtschaft umgewandelt. Im Dezember 1990 wurde der ehemalige Solidarność-Vorsitzende Lech Wałęsa in einer Volkswahl zum Staatspräsidenten gewählt. 1991 endete die Mitgliedschaft Polens im Warschauer Pakt durch Auflösung des Militärbündnisses. Damit begann in Polen eine neue Epoche – die Epoche des Kapitalismus und der Demokratie. Die neuen Zeiten haben die gesamte Struktur der polnischen Wirtschaft, Gesellschaft, Kultur und Sprache verändert. In der vorliegenden Textsammlung möchten wir die Veränderungen der polnischen Sprache anhand von Beispielen verschiedener Texte illustrieren.

Die wichtigste Veränderung in der polnischen Kunst seit 1989 war das Ende der Zensur: Endlich konnte man schreiben und sagen was man wollte (wie in jedem zivilisierten Land darf man natürlich nicht den Präsidenten oder Vertreter der Regierung beleidigen). Früher war das ganz anders. Man konnte keine politischen und sozialen Probleme kritisieren. Man musste diese metaphorisch beschreiben und häufig interpretierte das Publikum dann alles ganz anders, als es eigentlich vom Autor gemeint war. Als Beispiel für Gesellschaftskritik nach 1989 haben wir einen Text von Aldona Kopkiewicz (4) ausgewählt.

Mit der Demokratie und dem Kapitalismus hat Polen eine neue Zivilisation „entdeckt“: die Popkultur und die Globalisierung. Seit in Polen Viva und Mtv ausgestrahlt werden, sind Wörter wie *cool*, *trendy*, *sexy* oder *ok* in der polnischen Sprache so geläufig, dass manche Menschen heute nicht mehr glauben können, dass sie eigentlich keine polnischen Wörter sind. Diese Entwicklung haben wir uns am Beispiel der Texte von Kazik Staszewski (3) und Grzegorz Turnau (4) angeschaut.

Die neuen Technologien haben auch neue Kommunikationsmöglichkeiten eröffnet. SMS, Emails, Blogs, sowie auch Facebook haben unsere Sprache verändert. Es geht heute darum, dieselbe Nachricht so schnell und so klein wie möglich verpackt zu schicken. Niemand hat heute mehr Zeit, romantische, poetische und konservative Briefe zu schreiben. Als Beispiel für einen polnischen Blog haben wir einen Abschnitt der Website www.palpatineblog.pl (15) vorgestellt.

Seit 1989 werden auch Tabuthemen gebrochen. Man spricht und schreibt ohne Hemmungen über Sex, Homosexualität, die Kirche usw. Dazu wird die Umgangs-

und Alltagssprache benutzt. Die Texte von Andrzej Stasiuk (12) und Mirosław Nahacz (9) sind dafür gute Beispiele.

In unserer Textsammlung präsentieren wir Beispieltexre unterschiedlicher Genres, die in der Zeit nach 1989 entstanden sind, und möchten so Aspekte der Veränderungen in der polnischen Sprache und Kultur dokumentieren. Es handelt sich um wissenschaftliche, publizistische, epische und lyrische Texte sowie um Liedertexte und, wie erwähnt, einen Blog.

Berlin, im Herbst 2010

Die Herausgeber(innen)

1.

Andrzej Stasiuk: *Jak zostałem pisarzem*

Kurczę, nikt wtedy nie jeździł taksówkami, przynajmniej nikt z nas. Taryfiarze byli podejrzani. Jak się ma szesnaście lat, to większość jest podejrzana. A zresztą nie mieliśmy kasy. Jak się nie ma kasy, to wszystko od razu robi się podejrzane, zwłaszcza ci, co mają. My w każdym razie nie mieliśmy. Jeździło się autobusami i tramwajami. Tramwaje skrzypiały jak nieszczęście. Skrzypiały na zakrętach. Pierwszy był na rondzie Starzyńskiego, jak jechało się do Śródmieścia. Skrecały w prawo i skrzypiały. Jak się jechało na Pragę, to dopiero przy Ratuszowej był ten cholerny skrzyp. Ale tam można było wysiąść i była zielona budka z piwem. Można było pójść w prawo i do zoo, popatrzeć na małpy, słonie i hipopotamy. Jak się doszło do hipopotamów, to był już most Gdański i można było złapać tramwaj do Śródmieścia. Tak robiliśmy. Można też było iść na piechotę na drugą stronę i w lewo przez park, potem koło fabryki pieniędzy i już łapało się staromiejski klimat, kamieniczki, bruk, elegancka makieta i w Pasiece piwo kosztowało dziesięć złotych. Nikt się nie pytał. Zresztą wyglądaliśmy na więcej. Rzadko jest tak, że się wygląda na mniej. Nam się w każdym razie nie zdarzyło. A może kelnerki były zdemoralizowane. To jest sprawa niejasna i dzisiaj raczej nie do rozkminienia. Pierwsza telefoniczna budka stała na rogu Freta i Kościelnej. Zawsze była zepsuta. Guzik nas to obchodziło, bo i tak nie mieliśmy do kogo dzwonić. W Bombonierce wieczorami koleś grał na fortepianie przedwojenne szlagiery. Ciociosan był po dwadzieścia złotych lampka, a cola po dziesięć. W sobotę nie było gdzie usiąść i do tego jasno jak u lekarza. I wszyscy to samo: cola, ciociosan i ciastko. Papierosy caro były w miękkich błękitnych paczkach. Kosztowały dwadzieścia złotych. Klubowe cztery pięćdziesiąt. To był poważny rozrzut. Dzisiaj już tak nie ma. Najchętniej paliliśmy extra mocne bez filtra, bo najbardziej szkodziły. Potem gdzieś znikły i musieliśmy się zadowalać byle czym. Ale zanim przepadły, kosztowały chyba najpierw sześć pięćdziesiąt, a potem dziesięć. Żółty pasek i czarne litery. Zanim wyleciał z nich tytoń, były grube jak mały palec. Wierzyliśmy, że mają coś wspólnego z gitanesami. Nie miały. Teraz to wiem. Kościelną można było zejść koło Najświętszej Marii Panny nad samą Wisłę. Nikt tego nie robił, bo tam nic nie było. Chodziło się zawsze prosto. Ludzi robiło się więcej i więcej, a przy Barbakanie już przelewał się tłum. To zawsze działało trochę podniecająco. Nie wiadomo właściwie, dlaczego. Wszyscy pałętaли się między jednym Rynkiem a drugim i z powrotem. Po drodze żadnych atrakcji, a niektórzy potrafili robić to cały boży dzień. Zawsze była nadzieja, że coś się stanie i stawało się zazwyczaj mniej więcej to samo. Spotykaliśmy się i tyle. Niektórzy dzisiaj nie żyją. Nie wiadomo na przykład, czy żyje Bobik. Był ciut szurnięty, więc naprawdę trudno coś powiedzieć. Nosił chyba szalik i wyglądał całkiem przystojnie. Trochę jak ładny Niemiec. Co do innych też nie można mieć pewności. Chodziło się i czekało. Siedziało się i czekało, stało i czekało. Trochę monotonne zajęcie, ale nikt nie mówił, że mu się nudzi. Na Rynku jak zwykle wisiały obrazy i pilnowali tego artyści w sandałach. Czasami ustrzelili jakiegoś jelenia i szli pić do Fukiera. Towaru pilnował wtedy jakiś wynajęty. To było

ekstra malarstwo. Zachody słońca, wschody, żaglowce, roślinność, postacie kobiece i staromiejskie widoki. Te ostatnie szły najlepiej, bo można było od razu porównać, że to prawda. Niemcy brali po kilka sztuk. Holendrzy nic nie kupowali, bo na ogół też mieli sandały, byli podobni do malarzy i wiedzieli, co jest grane. Kiedyś nie miałem papierosów i podszedłem do jednego Holendra. Zrobił skręta z druma i mi dał. To był mój pierwszy skręt i wcale mi nie smakował. Wieczorem chodziło się do Jaja. Palily się świeczki, można było mazać po ścianach i puszczać swoje taśmy. Tak wyobrażaliśmy sobie wolność. Wszędzie było tanio. Nie mieliśmy o tym pojęcia. Czasami legitymowała nas milicja. To było coś. Nie wszystkich legitymowała. Jak się chciało mieć spokój, to się szło Celną na Gnojną Górę. Tam można było robić właściwie wszystko, byleby nie za głośno. Wierzyliśmy we wszystko, co sobie opowiadaliśmy i nie przychodziło nam do głowy, by cokolwiek sprawdzać. Piszę w liczbie mnogiej, bo nie lubię zwierzeń. Szło się Brzozową w lewo i pod Barbakan. Wieczorem siedzieli tam pijaczkowie. Pod mostem było w cholere plastikowych korków od alpag i blaszanych od piwa. Jak nie było pijaczków, to też można było robić, co się chciało. Gliny tam nie chodziły. Trochę śmierdziało. Byłem tam z kilkoma dziewczynami. Nie ma się czym chwalić. Wszyscy tam przychodzili. Stała jedna ławka. Górą szli japońscy turyści i się uśmiechali. Nikt ich wtedy nie traktował poważnie. Imponowali nam Amerykanie i Anglicy. Francuzi już nie tak bardzo. Mieli tylko Jean-Michel Jarre'a, ale nie wszyscy załapywali się na Oxygene. Prawdę mówiąc, prawie nikt. Żyliśmy jak zwierzęta. W stadzie. Niektórzy wyglądali jak ostatni kretyni. Nikomu to nie przeszkadzało. Niektórzy byli głupszy niż drewniane pięć złotych. Nikt im złego słowa nie powiedział. Podejrzewam, że już nigdy tak nie będzie. Długie włosy, kiepskie papierosy. Słuchało się Floydów, o Sex Pistols nikt jeszcze wtedy nie słyszał. Grali dla siebie, nie dla nas. Jakby się zjawili na Pivnej, pewnie byśmy ich pogonili. Te agrafki, podarte koszulki i dzinsy. My też nosiliśmy podarte wrangle. Podarte, ale połatane. Łata na łacie. Jedna na drugiej. Tak grubo, że latem to niewyróbka z gorąca. Musieliśmy trochę śmierdzieć. Ale jak się jest młodym, to się tak nie cuchnie.

Cuchnie się później, później trzeba się częściej myć ze strachu przed bakteriami i przed innymi ludźmi. Tak, nakopalibyśmy Rottenowi w 77-mym. Nie miał szans. Niektórzy słuchali Slade'ow, lecz się nie przyznawali. Ja też słuchałem, ale udawałem, że tylko Floydzi, Hendrix i Joplinka. Co miał piernik do wiatraka. Jedliśmy chleb i popijaliśmy mlekiem. W New Yorku Nico śpiewała z Velvetem, a nas to gównem obchodziło. Nie mieliśmy pojęcia. Musiało być długo, nudno i na poważnie. Pięć minut gitarowej solówki wcale nas nie zadowalało. Najlepiej jakby było dziesięć i to na perkusji. Jak Piotrowski z Apostolisem na kortach Legii. Publika szalała, chociaż wszystko razem, jak popatrzeć, nie miało żadnego sensu. Zwyczajnie się ścigali. Dziewczyny były tak samo obdarte jak my. Trudno było odróżnić. Zwłaszcza z tyłu. Nosily spodnie. Pękały na tyłkach. Coś się wtedy naszywało. Najlepiej amerykańską flagę. Angielską naszywało następne pokolenie. Nikt nie naszywał sobie francuskiej. A niemieckiej to już w ogóle. Niemcy to nie był żaden kraj. Nikt o nich nie myślał. Dopiero później, jak niektórzy jeździli na arbajt. Tak, ale to było naprawdę później. Już razem z Rottenem i resztą. Na Krakowskie się nie

chodziło, bo nie było po co. Do Zamkowego i z powrotem. Czasami, żeby było urozmaicenie, wracało się Kanonią i Jezuicką pod oknami komendy. Nosiliśmy podróbki adidasów i trampki. Albo zamszaki. Tak, zamszaki, przede wszystkim zamszaki. Beżowe, miękkie, sznurowane na cztery dziurki. Chodziło chyba o pacyfizm, łagodność, te rzeczy, chociaż niektórzy czasem się napierdalali. Z takiego zamszaka też można było nieźle komuś zapalić. Jak padało, robiły się całkiem do niczego. W ogóle jak padało, to trzeba było gdzieś się schować. Kelnerki tego nie lubiły, chociaż knajpy były państwowe i kobitki jechały na pensji.

Aus: *Jak zostałem pisarzem (próba autobiografii intelektualnej,*
Warszawa: Czarne 1998, S. 7-9

2.

Mirosław Nahacz: *Osiem cztery*

Rodzice Andrewa są lekarzami, jak ktoś chce mu dopierdolić, to wyciąga właśnie to. Że ma kasę, że jest rozpieszczony, że nie rozumie. Starsi Muka też przędą całkiem nieźle, jest zresztą jedynakiem. Nieźle go wkurwia, jak mówię, jak to ma dobrze, bo nie ma rodzeństwa. Dlatego nie wjechaliśmy w ten koniec świata jakimś polonezem czy fiatem 126R. To była terenowa toyota, samochód sprowadzany podobno ze Stanów. Ale teraz już nie robi takiego wrażenia, że coś jest ze Stanów. Peweksy umarły, my pamiętamy je jak przez mgłę, tamten świat nie jest nasz, nic z niego nie jest nasze, nam wolno prawie wszystko, myśleć, mówić, a w dodatku nic nie musimy, nie trzeba się bić, zresztą nie ma o co, nie ma żadnych idei, jak ktoś chce, może na siłę zostać harcerzem albo ministrantem, może odnajdzie sens i podobne duperele, nam to nie jest do niczego potrzebne.

Andrew był najsmutniejszy, mnie powoli stawało się obojętne, jak dzisiaj w nocy pozbędę się tego świata, Patol miał swoją trawę, Muko wódkę, a Tępy pół setki podróbek. Co prawda mieliśmy jeszcze pięćdziesiąt parę oryginałów, ale nie wiadomo było, co się z nimi stanie.

Mieliśmy gdzie jechać. Cel był, i nie oznaczało to bezsensownego siedzenia w mieście, wiadomo było, że czas płynie i coś się dzieje, że rzeczywistość skonstruowana jest na zasadzie przyczynowo-skutkowej, że jest coś takiego, jak czas przyszły, że może zdarzyć się coś nowego, a to, co nastąpi, nie oznacza powtarzania tego, co już było. To miała być jedna z tych imprez, przed którymi, kilka dni naprzód, mówi się: „ale się, kurwa, spaćkam”; „napierdolę się jak chuj „o żesz kurwa, ale nic nie będę czuł”; „w dupę jebana, : porzygam”. Patol kończył osiemnaście. To dlatego.

Rodzice Andrewa kupili działkę koło wsi Rzehotyń, ważne, że w górach i na odludziu. Było już tam kilkanaście osób mieli czekać, bo my wszystkim rządzący.

Już mieliśmy wchodzić do auta, ktoś się kłócił o to, Ł ma siedzieć z przodu. Mieliśmy mokre buty, spodnie, wic i ręce. Papierosy się tliły, a dym kłębił, gryzł w oczy i dołąc; do mgły. Patol popatrzył tak dziwnie, i ja już wiedziałem.

- Chłopaki, to jak, bąkamy? No bo zimno i tak coś pierdolicie o niczym, może jakiego dopinga dla umysłu, Tak żeby, kurwa, obudzić podświadomość. Na początek, jak, nabijać? Bo ja nie wiem, ale nabiję, kurwa, bo tak pada i mgła.

Aus: *Osiem cztery*, Warszawa: Czarne 2003, S.8-9

3.

Kazik Staszewski: *Cztery pokoje*

4 pokoje, 4 pokoje, pokażę wszystko wam dopóki jeszcze mogę stać
4 pokoje, 4 pokoje, pokażę wszystko wam póki jeszcze prosto stoję

Polacy są tak agresywni, a to dlatego, że nie ma słońca
Nieomal przez siedem miesięcy w roku, a lato nie jest gorące
Tylko zimno i pada, zimno i pada na to miejsce w środku Europy
Gdzie ciągle samochody są kradzione, a waluta to polski złoty
Samochody to nie Ruscy kradną tylko robią to właśnie Polacy
Policja znajduje jeden na sto, natomiast dużą część owoców pracy
Pożera aparat administracyjno-urzędniczy
Socjalizm totalitarny zmienił się w koncesyjno-etatystyczny

To dziś jest dzień, ostatni dzień, haha
Zarazem pierwszy dzień reszty życia twojego

4 pokoje, 4 pokoje, pokażę wszystko wam dopóki jeszcze mogę stać
4 pokoje, 4 pokoje, pokażę wszystko wam póki jeszcze prosto stoję

Biurokracja od czasu upadku komuny rozrosła się trzykrotnie
Z tą różnicą, że zamiast jednego stanowiska obsadzają cztery partie
Czyniące zasadniczo to samo w ramach jednego modelu, tak
Władza, korupcja i kłamstwa prowadzą najlepiej do celu
A różnica, że jedni mówią, że PRL była "cool" - a drudzy, że nie
I że jedni mówią, że pewno Boga nie ma - a drudzy mówią, że jest
Ale zasadniczo to jest jedna formacja nad wyraz pasożytnicza
Takie dwie strony jednej chorągiewki tak tutaj zazwyczaj naliczam

4 pokoje, 4 pokoje, pokażę wszystko wam dopóki jeszcze mogę stać
4 pokoje, 4 pokoje, pokażę wszystko wam póki jeszcze prosto stoję

To dziś jest noc, haha, ostatnia noc
Zarazem pierwsza noc reszty życia mojego

4 pokoje, 4 pokoje, pokażę wszystko wam dopóki jeszcze mogę stać
4 pokoje, 4 pokoje, pokażę wszystko wam póki jeszcze prosto stoję

Na przykład w cenie benzyny 70% to podatek
Na utrzymanie tej hydry nienasyconej, ich dzieci, żon i matek
I właściwie kto wódki nie pije ten jest wywrotowcem, tak
Świadomie uszczuplającym dochody państwa - bezideowcem
Przez 7 lat zbudowano w Polsce 19 kilometrów autostrady

Los Angeles ma około 20, a Warszawa ponad 700 radnych
Polacy mają depresję totalną, dlatego, że nie ma słońca
Przez 7 miesięcy w roku, a lato bywa czasem nie gorące

4 pokoje, 4 pokoje, pokażę wszystko wam dopóki jeszcze mogę stać
4 pokoje, 4 pokoje, pokażę wszystko wam póki jeszcze prosto stoje

Polscy piłkarze nie strzelili od kilkuset minut gola
To stan na kwiecień 2000 i zakończona moja rola
To była bardzo gruba Lola, pozdrowienia dla pana Konopki
I jego współnika Gawdzika, o losie słodki...

Liedtext aus dem Album *Melassa* (2000)

4.

Grzegorz Turnau: *Cichosza*

Po cichu
po wielkiemu cichu
idu sobie ku miastu na zwiadu
idu i patrzu

Na ulicach cichosza
na chodnikach cichosza
nie ma Mickiewicza
i nie ma Miłosza

Tu cichosza tam cicho
szaro brudno i zima
nie ma Słowackiego
i nie ma Tuwima

Po cichu
po wielkiemu cichu
idu sobie i idu i idu
i patrzu i widzu

W rękach w głowach cichosza
w ustach w oczach cichosza
nie ma samozwańców
i nie ma rokoszan

Tu cichosza tam cicho
szaro brudno i śnieży
nie ma kosmonautów
i nie ma papieży

Tu cichosza tam cicho
i wogóle nic ni ma
wiosna to czy lato
jesień albo zima

Liedtext aus dem Album *Turnau w trójce*, Michał Zabłocki (1995)

5.

Maciej Stuhr: *Krakosza*

Po rynku, po wielkiemu rynku,
Wieżu Mariacku, hejnału, kwiaciarku,
Gołębiu i piwnicu,
Na ulicach Krakowa
Jest dorożka i konik,
Też by wiersz napisał –
Taki jest natchniony!
Tu poezja, tam proza,
Z pieśnią rynek dnieje,
Wszędzie świeci słońce,
A na Brackiej leje.

Kamień duchem kwitnący,
Dusza staropolska,
Nie ma Mickiewicza,
Za to jest Szymborska,
Każdy ma nad sobą
Poetycką zorzę,
Hejnał, Turnau, Stuhr,
Tu śpiewać każdy może!

Po rynku, po wielkiemu rynku,
Idu sobie i się dziwiu, czemu tu
Śpiewaju po rusku...

Wódka w parku wypita,
W „Vis-a-vis” i w „Rio”,
Nikt nie jest pijany,
Chociaż wszyscy pija,
Tu poezja, tam proza,
Z pieśnią rynek dnieje,
Wszędzie świeci słońce,
A na Brackiej leje.

Każdy kamień kwitnący
Dusza staropolska,
Nie ma Mickiewicza,
Za to jest Szymborska,
Prawie każdy Krakus
Chłuba to i sława,
Choć nie ma kosmonautów,
To papież by się znalazł.

Kraków, Kraków, Krakosza,
A poza nim nic ni ma,
Wiosna to czy lato,
Jesień albo zima.
(gwizd)

Parodie auf einen Liedtext von Grzegorz Turnau, 2002

6.

Jan Klata: *Weź przestań*

SCENA 2

Stolica. Przejście podziemne. Miejsce uświęcone krwią Polaków. Cały czas przechodzą w pośpiechu ludzie. Dużo różnych ludzi. Zaczep usiłuje na różne sposoby wyżebrać pieniądze od przechodniów. Bezskutecznie.

ZACZEP: Hej, hej, czy mógłbyś mi po... Bardzo przepraszam... Zbieram na karmę dla psiaka Nie poratowałbyś... Posłuchaj...

Jest taka charytatywna akcja Czy chciałbyś... Dzień dobry!...

AGENT 0,000007: Koledzy z klatki zrobili karierę. Mają kasę. Narzeczone sexy-pewexy. Mają fury. Wwożą bas terror na dzielnicę. Są ustawieni. Czasem do mnie wpadną i się śmieją.

WIDZEWPEDAŁDUPESPRZEDAŁ: A Tajger?

POSUWISTY KOŁO: Jaki Tajger?

WIDZEWPEDAŁDUPESPRZEDAŁ: Tajger z Danzig.

POSUWISTY KOŁO: A Patrycję widziałeś? Kurwa, człowieku, Tajger to flaczek. Zajeżdżyła go. Byle asfalt sklepał mu maskę. Strzelił z liścia i gleba.

SZLAM: Najwięcej dają za obrażenia twarzy i uszkodzenie kończyn chwytnych. Ja mam siedem procent inwalidztwa.

PRZYRUCH: Twarz?

SZLAM: Jaka twarz? Wątroba. A ty co masz? PRZYRUCH: Ja mam inny sposób. Idę do lekarza i unieruchamiam sobie kończynę. Mam takie nietypowe mięśnie.

Każdy bokser albo wędkarz ma taki specyficzny ruch. Ja też mam. Proszę, (prezentuje)

KANDOM: Niezły. Ile?

PRZYRUCH: Dwanaście procent inwalidztwa.

SZLAM: Więcej niż ja na autentyczną wątrobę.

PRZYRUCH: Na drugą stronę jezdni potrafię przechodzić dwadzieścia pięć minut. Kwestia treningu. Plus te nietypowe mięśnie.

KANDOM: Ja pierdolę. Gdybym to teraz nagrał na dyktafon, to by powiedzieli, że to fotomontaż.

BONUS: Większość ludzi w tym kraju to jedna wielka genetyczna katastrofa.

GEJTS: Nie zamieniłbym się z tymi ludźmi na życie.

BONUS: I vice versa.

PANCZO: To taka fauna bakteryjna.

GEJTS: Flora.

PANCZO: Fauna.

GEJTS: Flora.

PANCZO: Fauna.

BONUS: Cisza! Wyszliśmy z niezłego lokalu po suto zakrapianym sushi. My, finansowe creme de creme tego nadzianego miasta. Weszliśmy w ten kanał, żeby złapać spontaniczny kontakt ze społeczeństwem, a wy się kłóćcie o pastę do zębów. Dzisiaj jest mój dzień, pamiętajcie o tym. I mnie się tu nawet spodobało, chociaż nie ma zasięgu. Ale widzę bukinistę.

SŁOWASŁOWASŁOWA: Jak wpadłem na pomysł na własny interes? W supersamcu była promocja. Za symboliczną złotówkę każdy mógł wynieść tyle książek, ile udźwignie. Zapukałem do sąsiada kulturysty. Pomógł. Kupiłem na wagę, sprzedaję na sztuki. Złoty interes. Poradniki się dobrze sprzedają. Ludzie nie mają się kogo poradzić, to sobie czytają.

POSUWISTY KOŁO: Albumy są fajne. Wyrazy trzeba czytać, a zdjęć nie trzeba. Lubię zdjęcia.

WIDZEWPEDAŁDUPESPRZEDAŁ: Jest coś o reprezentacji?

BONUS: Jestem Bonus. Za wszystko inne trzeba płacić. Per-manentne ostinato. Pierdołę permanentne ostinato. Me-gapensja i osobisty klucz do toalety dla VIP-ów. Pułapka sprzedaży ratalnej. Pecunia jednakowoż olet. I to bardzo. I to jest dobry prognostyk. Rzuca pozytywne światło na szersze spektrum. A to rzuca negatywne światło na całą sprawę. Jak wrzucał to kucal. Zdobywca nagród pocieszenia. Bonus.

ADRENALINKA: Gryźli! Nie wachaj pana, ten pan i tak nie zapłaci.

PRZYRUCH: A niech sobie wacha. Gównu wy wacha!

SCENA 3

Stolica. Przejście podziemne. Miejsce uświęcone krwią Polaków. Cały czas przechodzą w pośpiechu ludzie. Dużo różnych ludzi.

Zaczep usiłuje na różne sposoby wyzebrać pieniądze od przechodniów.

Bezskutecznie.

ZACZEP: Hej, hej, czy mógłbyś mi po... Bardzo przepraszam... Zbieram na karmę dla psiaka Nie poratowałbyś... Posłuchaj...

Jest taka charytatywna akcja Czy chciałbyś... Dzień dobry!...

BONUS: Mózg to organ, którym cheszę grubą kasę. A co to jest mózg? Półtora kilograma galaretki. A u mnie to jest gruczoł finansowy. I erotyczny. Szybka bibka. Atmo-sferka Nur Fur Lovers. Jestem już dyskretnie uplasowany w jakiejś gorącej foczce. Zapowiada się ostra przelot-ka, zaczęliśmy mieć seks, ale ja trochę wytrzeźwiałem w pozycji na jeźdźca i mówię: kochanie, łupież ci się na dekolt osypuje. No i finito. Ultrafiolet jest bezlitosny. Więc lepiej w dzień. W każdych okolicznościach przyrody. Bufet instytucji finansowej. Jest. Zamawiam herbatę i patrzę znacząco. Z zaplecza wracam wyciumkany. Oczywiście najlepiej zrobić przyjętko. Więcej opcji. Bardziej elastycznie. Ale cały czas pijemy, chłopacy! Dziś jest mój dzień.

GEJTS&PANCZO: Cheers!

BONUS: Myślicie, że prezes się wypalił? Prezes się nie wypalił. Czuję się jak Mick Jagger. Tylko na większą skalę. GEJTS&PANCZO: Cheers!

PAN HAJHITLA: Rozbierać się, dziewczyny, będę grał! To dla was śpiewam, dla was gram. Tutaj, bo was kocham. Bo przyjaciół kilku mam, od lat. Bo kocham ten kraj. A ja mógłbym grać wszędzie, na przykład w Transfrancisco.

Tak wysoko skacze mój pies! To tytułowy utwór z płyty pod tym tytułem. Na szczycie gór skalistych kondor jajo zniósł, drugie jajo zniósł, trzecie jajo zniósł...

POSUWISTY KOŁO: Może się to państwu wyda nieprawdopodobne, ale byłem w reprezentacji naszego kraju. Brydżowej. Cała Polska patrzyła mnie na ręce. Ha, ha. (poważnie) Amerykańscy uczeni odkryli, że dowcip leczy. (śmieje się) Kondoliza Rajs.

WIDZEWPEDAŁDUPESPRZEDAŁ: Tańczymy labada labada, tańczą go kibice Unii Warszawa.

GEJTS: Ale klimat!

PANCZO: Będzie co opowiadać na wyjazdach integracyjnych. Dowcip leczy!

GEJTS: Tylko żeby to wszystko zapamiętać. Tyle atrakcji.

Przechodzą we dwoje.

NIEDOSZŁY: I co? Możemy mieć dzieci?

NIEDOSZŁA: Nie. (cisza)

NIEDOSZŁY: Kto?

NIEDOSZŁA: Ty. (cisza)

NIEDOSZŁY: Nieważne.

Przechodzą osobno.

PRZYRUCH: A ten Bin Laden to jest kozak. Jak coś robi to już robi. I raczej nikt nie żyje.

BONUS: Jadę porszawką do pracy. Pozdrawiają mnie kobiety w kabrioletach.

Codziennie rano mówię portierowi: Dzień dobry. Nadaję sens jego życiu. Czasem mam dla niego specjalny uścisk dłoni. Jestem Bonus. Za wszystko inne trzeba płacić.

Aus: *Echa, repliki, fantazmaty: Antologia nowego dramatu polskiego*,
Kraków: Księgarnia Akademicka 2005, S.70-72

Tomasz Różycki: *Dwanaście stacji*

Stacja piąta: Działka

Jakież to proste, przejść przez trzy klimaty, wsiąść na samolot i migiem przelecieć sztywną Europę, nieletnią Afrykę i Amerykę całkiem wyzwoloną! Jakie to łatwe, nalewać benzyny do samochodu i za jedną drzemką przemknąć granice zjednoczonej Unii,

jedynie dzięki radiu się domyślając zmiany języka i kraju, chociaż wciąż za oknem te same baraki, motele, kempingi i bary szybkich treści! Jakie to wręcz dziecinnie proste, włączyć komputer i na zwinnej myszce niby na wierzchołcu galopem przemierzyć szczęśliwe kraje, obejrzyć galerie, zajrzeć do butików i nawet sprawdzić, co dzisiaj gotują w knajpie przy placyku! Co innego było w tej części Europy! Każda jedna zmiana była na jakiś sposób zmianą mistyczną, przejście przez ulicę było tu nieraz wejściem do innego, nieznanego świata, momentem narodzin, inicjacji w nowe czy twórczej śmierci poniekąd radosnej. Tutaj wciąż granice szczęśliwie dzieliły świat na drobne kłaczki i przebiegały zawsze tajemniczo w miejscach, o których nikt by nie powiedział dobrego słowa - w poprzek domów, dzielnic, w poprzek całych wiosek, w nawach kościołów, w poprzek stołów i przez środek łóżek. Toteż nic dziwnego, że Wnuk, wychodząc przez furtkę ogródka, przekroczył zaraz kilka nowych granic i nic nie robiąc sobie z takiej zbrodni, szedł gibko dalej, dzwoniąc w spodniach całą filharmonią kluczy i drobnych monet, nie wiedząc nawet, że ten, który owe granice sam ustalił, gdzieś tam powyżej nawoływał do rozsądku i że było to z pewnością ostatnie poważne jego ostrzeżenie, a w rękę trzymał już patyczek, jakby nad mrowiskiem.

Zaraz też Wnuk z drogi swej zawrócił, bo żeby dojść na działkę, należało przecież wyjść Bramą Pierwszego Maja i z tego powodu przejść najpierw zaraz koło domu, w którym mieszkał niegdyś najlepszy kolega Wnuka do zabawy, najlepszy zaś z tego powodu, że jego ojciec przez czas dosyć długi pracował zarobkowo w Szwecji i przywoził stamtąd rzeczy niesłychane, takie jak na przykład plastikowe żołnierzyki różnych narodowości, robione z prawdziwą dbałością o szczegół i dlatego całkiem od tych krajowych różne, ponieważ wyraźnie było widać, co jest takiego żołnierzyka czapką, a co fryzurą, co jest jego koniem, a co jedynie podstawką-stojaczkiem. Długo były one przedmiotem zazdrości i ukrytych pragnień,

choć był kolega dość chętny na wspólne zabawy
i odbywały się u niego w domu ogromne bitwy
z gościnnym udziałem strzelców alpejskich i Afrika Korpsu,
amerykańskich brygad desantowych, rosyjskiej piechoty
i niezwycięzonych, czyli Polaków. Codziennym kłótniom,
kto będzie dowodził niemieckiej armii, położył kres układ sojuszniczy,
po którym obaj razem dowodzili aliantom, natomiast Niemcy,
głupi, choć zawzięci, bronili się jak zwykle sami, do ostatniego.
Raz jeden plastikowe wojsko wzięło wspólnie udział w misji
na teren ogródka, kiedy czerwone, duże mrówki naszły bezczelnie
i nieoczekiwanie na mrówki czarne, strasznie je katując:
Wtedy oddziały plastikowej armii, dowodzone przez sprzymierzonych
generałów, rozdzieliły odważnie walczące strony,
kłując nieposłuszne bydłeta bagnietami, z czego żołnierzyki
straciły swą niewinność, a krew na bagnietach oraz zielonkawa mazią
pozostały na długo tytułem mementa. Potem aż do zmroku
na środku ścieżki dwa patrole, złożone z tak niedawnych wrogów, stały
na straży porządku oraz dobrobytu.

Tak rozmyślając nasz Bohater dotarł do owej Bramy, a kiedy ją przekroczył, szedł
malowanym szlakiem przez te wschodnie dzielnice, o których tak pięknie pisze poeta
lokalny.

Aus: *Dwanaście stacji*, Kraków: Znak 2009, S.51-53

Joanna Orska

Chcę tu postawić tezę, że w latach 90. ukonstytuował się nowy -na polskim gruncie - styl ekspresji lirycznej, pewna rozpoznawalna poetyka, właściwa dla wielu debiutujących wówczas autorów, choć na najróżniejsze sposoby przez nich uprawiana. „Prywatność”, bezpośredniość wypowiedzi - pojęcia, które początkowo zostały uznane przez krytyków za najbardziej dla nich charakterystyczne, pojawiły się w dyskursie krytycznoliterackim na pewno nie bez powodu. Wiersze, o których tu mowa, podlegają często zasadzie swobodnej konwersacji, poetyce codziennych, prywatnych zapisków; fakt wykorzystywania w poezji debiutujących w końcu lat 80. i początkach 90. potocznego idiomu komunikacji jest też niewątpliwy.

Biografizm twórczości Jacka Podsiadły czy Marcina Świetlickiego sugerując autentyczność tekstu, narzucał interpretatorom dosłowne odczytania, skłaniając do tego typu diagnoz. Szybko jednak interpretacje takie okazały się zbyt mało pojemne. Po pierwsze, „potoczny” czy „prywatny” w tym wykonaniu nie musi oznaczać: ogólnie dostępny i zrozumiały. Dla tradycyjnie pojmowanego przekazu literackiego podstawą, która umożliwia jego rozumienie, jest uwolnienie go od okazjonalności - wyeliminowanie tego, co we współczesnej skali historycznej, wspólnej nadawcy i odbiorcy, pozostaje nieistotne, więc przypadkowe, niewspólne. I tu już rysuje się nam pole do popisu dla tych, którzy, jak bohater wiersza Grzegorza Wróblewskiego, przekornie twierdzą: „gatunek / to ja i on / jeżeli my razem / to ja / nie”. Poezja debiutantów lat 90., którzy nader chętnie uprawiają różnorakie gry z autentykiem, jest o tyle szczególna, że z jej przekazu wyłączona została konieczność komunikowania czegokolwiek, co mogłoby z punktu widzenia odbiorcy nieść ze sobą wartości uniwersalne. Dominującą rolę w takim tekście, często ze względu na błażość tematu, zaczynają grać jego retoryczne uwarunkowania.

W latach 90. poeci tak samo jak nie wierzą w język niezależny od uwarunkowań tradycji, tak nie wierzą w język wolny od osobistych doświadczeń i idiolektu. Stąd np. bez szczególnej troski o wiarygodność i o czytelnika umieszczają w wypowiedzi literackiej informacje powiązane bezpośrednio z własnym, prywatnym „tu i teraz”. Będą więc konstruować wiersz w taki sposób, jakbyśmy byli obecni przy jego tworzeniu lub jakbyśmy mieli do czynienia z komunikacją bezpośrednią. Jako czytelnicy pozbawieni jesteśmy jednak skalającego, sytuacyjnego kontekstu, jaki zapewnia bezpośredni kontakt. Rozszyfrowanie znaczeń „prywatnych” wymaga na ogół nie tyle jakiego wysiłku, a często jest po prostu niemożliwe (nie pojmujemy doświadczeń podmiotu z tej prostej przyczyny, że nie było nas przy nim, kiedy ich doświadczał). Komunikat prywatny pozostaje w efekcie często zrozumiały, ale dla nas może być informacyjnie pusty. Nie daje się przecież podporządkować jednoznacznie obiektywnej sytuacji i kreowany jest w dużej mierze poza kontekstem wspólnej nam tradycji estetycznej czy literackiej - zanurzony w najdosłowniej rozumianej, jednostkowej aktualności. Nawet jeżeli autor ułatwi odbudowanie kontekstu sytuacyjnego, np. określając datę i miejsce powstania tekstu, wymieniając imiona i nazwiska (osób, których najczęściej nie jesteśmy w stanie zidentyfikować), z

reguły nie dostarczą one wystarczająco wiele punktów odniesienia, żeby prywatność mogła zostać „udostępniona”. Odwołując się przede wszystkim do autotematycznej świadomości literatury autobiograficznej, debiutujący w latach 90. nie przyznają wyznaniu i przedstawieniu dominującej roli w tekście. Oczywiście doświadczenia „ja” pozostają, jak zawsze, zasadniczym materiałem liryki. Jednak zarówno świat, jak i doświadczanie świata nie są dla nowej liryki dobrem najwyższym. Takim dobrem natomiast jest niewątpliwie sam fakt ciągnięcia lirycznego opowiadania, snucia poetyckiej narracji. Celem takiej poezji nie pozostaje jak najdoskonalsze sformułowanie nowych związków pomiędzy „ja” i światem, co de facto oddala od niej problemy powiązane z autentycznością przekazu czy też z samą możliwością oddania doświadczenia w literackim materiale. Możliwość komunikacji bezpośredniej czy epifanii w literaturze uznawana jest tu raczej za coś wątpliwego; to tylko pewien mit towarzyszący modernistycznej literaturze. Dlatego może zarówno świat, jak i „ja” traktowane są tu jako figury tekstu, rządzące się przede wszystkim pewnymi retorycznymi prawami. To retoryka stanowi raczej o kształcie doświadczenia, aniżeli owo doświadczenie determinuje uporządkowanie retoryki tekstu.

* * *

„Liryka narracyjna” to gatunek poetycki, w którym opowiadanie, refleksja, dyskurs, a nie podmiot, jego uczucia czy refleksje, występują na plan pierwszy organizacji tekstu - to zbliża ją do poezji epickiej. Opowiadanie czy dyskurs mają tu wiele poziomów, jak i tematów dobieranych na zasadzie dowolności skojarzeniowej; nie są pod-porzadkowane jakiejś patronującej idei, nadrzędnemu celowi (co z kolei zbliża je do brulionowych zapisków). Specyficzna narracyjność tej poezji sprawia, że jej podstawową jednostką sensotwórczą staje się zdanie (na ogół długie, wielokrotnie złożone, parataktyczne), nie wers czy słowo - często tu pocięte stosowanymi bez ograniczeń prze-rzutniami. Rzadko natkniemy się na tok zgody intonacyjno-składniowej (co często przywodzi na myśl właśnie eksperymenty poetyki no-wofalowej). Przy czym zdarza się - tę tradycję inicjuje głównie Cisza Bohdana Zadury - że wiersz swą formą wpisuje się w określony gatunek, co prowadzi do kontrapunktu pomiędzy płaszczyzną wersową i zdaniową. Dyskurs najczęściej podważa tu tradycyjne wyznaczniki gatunku. Wywołuje to napięcie między sferą narracyjną i poetycką wiersza. Przewrotne wykorzystanie klasycznych form powoduje, że zostają one wyzute z właściwego im kontekstu; można je traktować więc nie jako samodzielne wartości, ale cytaty struktur; elementy układanki. Napięcia oraz zwroty autotematyczne, dla wielu utworów też istotny żywiół intertekstualności, jak i często stosowane, szczególnie przy detalicznych opisach, fragmentyzacje wypowiedzi typowe dla zapisków dziennikowych - wszystko to powinno kierować uwagę odbiorcy ku problemom związanym nie z samym opowiadaniem, ale z zasadami poetyckiego uporządkowania tekstu.

Aus: *Liryczne narracje: Nowe tendencje w poezji polskiej 1989-2006*,
Kraków: Universitas 2006, S. 30-32

Dorota Masłowska

Najpierw ona mi powiedziała, że ma dwie wiadomości dobrą i złą. Przechylając się przez bar. To którą chcę najpierw. Ja mówię, że dobrą. To ona mi powiedziała, że w mieście jest podobno wojna polsko-ruska pod flagą białą-czerwoną. Ja mówię, że skąd wie, a ona, że słyszała. To mówię, że wtedy złą. To ona wyjęła szminkę i mi powiedziała, że Magda mówi, że koniec między mną a nią. To ona mrugnęła na Barmana, że jakby co, ma przyjść. I tak dowiedziałem się, że ona mnie rzuciła. To znaczy Magda. Chociaż było nam dobrze, przeżyliśmy razem niemało miłych chwil, dużo miłych słów padło, z mojej strony jak również z niej. Z pewnością. Barman mówi, żebym kładł na niej laszkę. Chociaż to nie jest tak proste. Jak dowiedziałem się, że tak już jest, chociaż raczej, że już nie ma, to nie było tak, żeby ona mi to powiedziała w szczerze oczy, tylko stało się akurat na tyle inaczej, że ona mi to powiedziała poprzez właśnie Arletę. Uważam, że to było jej czyste chamstwo, prostactwo. I nie będę tego ukrywał, chociaż to była moja dziewczyna, którą mogę powiedzieć, że dużo zaszło między nami różnych rzeczy zarówno dobrych i złych. To przecież nie musiała mówić tego przez koleżankę w ten sposób, że ja się dowiaduję ostatni. Wszyscy wiedzą od samego początku, gdyż ona powiedziała to również innym. Mówiła, że ja to jestem raczej bardziej wybuchowy i że musieli mnie przygotować do tego faktu. Boją się, że coś mi odpierdoli, bo raczej tak zawsze było. Mówiła, żebym wyszedł pooddychać. Dała mi te swoje fajki z gówna. Tymczasem ja czuję tylko smutek bardziej niż cokolwiek. Jeszcze żal, że nie zostało mi to powiedziane w cztery oczy przez nią. Chociaż jedno słowo.

Magda wchodzi, ale bez Irka. Wygląda tak, jak gdyby coś się stało, jak gdyby rozsypała się na czynniki pierwsze, włosy gdzie indziej, torebka gdzie indziej, kiecka na lewo, kolczyki na prawo. Rajstopy całe w błocie na lewo. Twarz na prawo, z jej oczu płyną czarne łzy. Jak gdyby walczyła na wojnie polsko-ruskiej, jakby podeptało ją całe wojsko polsko-ruskie, idąc przez park. Odżywają we mnie wszystkie moje uczucia. Cała sytuacja. Społeczna i ekonomiczna w kraju. To cała ona, to wszystko jej. Jest pijana, jest zniszczona. Jest naspidowana, jest upalona. Jest brzydka jak nigdy. Ciekną jej po brodzie czarne łzy, ponieważ jej serce jest czarne równie jak węgiel. Jej łono jest czarne, podarte. Przez całe łono idzie oczko. Z tego łona ona urodzi dziecko murzyńskie, czarne. Andżelę o zgnitej twarzy, z ogonem. Z tym dzieckiem to ona daleko nie zajędzie. Nie wpuszczą jej do taksówki, nie sprzedadzą jej białego mleka. Będzie leżeć na czarnej ziemi na działkach. Będzie mieszkać na szklarniach. Jedzona przez glizdy, jedzona przez robaki. Będzie karmić to dziecko czarnym mlekiem z czarnych piersi. Będzie je karmić ziemią ogrodową. Ale ono i tak umrze prędzej czy później. (...)

Potem łązi sama, mówi, żebym jej nie dotykał. Jest kulawa. Mówi, że jestem tak brutalny, że gdy ją tylko jedynie dotknę, zabiję nasze dziecko i ją samą. Gdyż ona wtedy popęka wzdłuż i nasze dziecko zginie. Jestem dość zdenerwowany. Na izbie

przyjęć spotyka nas ordynator albo ortopeda, już sam nie wiem, gdyż boję się, żeby jej nie pobrali krwi, bo oprócz braku potasu wyjdą inne jej konszachty ze spidem, bo jest teraz naspidowana jak świnia, jej sprawy z szuwaksem i odbiorą jej to dziecko. Głównie jednak chodzi o tę nogę, gdyż skurcz jest potężny i robi przerzuty. Ortopeda mi mówi, żebym wyszedł na okres badania, o co się podkurwiam dość, gdyż jakkolwiek bądź jest to moja kobieta, czy nie jest. (...) Magda błaga mnie wzrokiem, żebym był spokojnym, więc się dość uspokajam. (...) No więc czekam i jestem spokojny, chociaż nosi mnie, żeby rozpieprzyć ten szpital w drzazgę. Za tego ortopedera i innych zboków, którzy tu urzędują, za to, że takie z nich krochmalone księżęta z prętem w ręce, ze słuchawką, jako że w kwestii, w której chodzi o wyrażenie poglądów, jestem przeważnie lewicowy.

Raczej się nie zgadzam na podatki i postulując o państwo bez podatków, w którym moi rodzice nie będą sobie flaków wypruwać na to, żeby wszyscy ci fartuchowi księżęta będą mieli własne mieszkanie i numer telefonu, podczas gdy jest inaczej. Co już zresztą mówiłem, że sytuacja w kraju gospodarcza jest kategorycznie na nie, ostentacja rządu i ogólnie rzecz biorąc słaba władza.

Ona mówi, że ona po prostu taka już jest, że nie jest to z niczyjej strony narzucone, tylko przez nią wybrane. Że całe życie nosiła się ot tak jak ja i ty, jak my wszyscy, lecz któregoś dnia powiedziała sobie, że chce być sobą i zachować swój własny niepowtarzalny styl. Tak jak ona sama wewnętrznie mroczny i czarny.

Ja mówię, iż to bardzo ciekawe i interesujące z jej strony. Że najważniejsze w życiu, to być właśnie sobą, nikim innym. Ona mówi, że również to odkryła.

Wtedy rozmowa na chwilę urywa się. Andżela popijając drink rozgląda się po sali.

Dobrze się bawisz? - mówię do niej, by napocząć rozmowę.

Pewnie, mówi ona, dobrze. Choć nienawidzę przeważnie takich ludzi jak ty. To ci powiem od razu.

Mnie to kompletnie zaskakuje, taki gryps usłyszeć od pozornie miłej dziewczyny, która jeszcze przez telefon okazywała się tak sympatyczna. Patrę się na nią. Ona na to w ten sposób: bo wiesz. Nie chodzi mi konkretnie o ciebie, gdyż ty jesteś przyjemny, schludny, po prostu inteligentny. Bardziej mam na myśli te diskodupy, te diskowywłoki, które nienawidzę po prostu. Spójrz na swych znajomych. Same dziwki, palanty, łaknące się nawzajem. Wszystkie myślą o tym, by znaleźć męża. Jest to totalna żenada, proszenie się samemu o rozplód. Brak antykoncepcji. Lecz ty jesteś inny, co od razu tu zauważyłam. Romantyczny, gdyż z miejsca rozpoznaję to w twojej prawdziwej naturze. Romantyzm, czułość, spaceruje we dwoje, motory, rowery wodne. To, co lubię.

Po czym pyta, czy mam już jakąś dziewczynę. Na co ja odpowiadam, że jeszcze nie, gdyż nie mogę się otrząsnąć po dziewczynie, od której musiałem odejść, gdyż codziennie kilkakrotnie niszczyła mnie duchowo. Ona na to: jasne, dobrze żeś zerwał z nią. Ja na przykład nie jestem taka. To znaczy płytka, głupia. Na przykład pomyśl, że ja nie jem mięsa. Mięso produkt zbrodni. Cukier robiony z kości zwierzęcych, więc cukru nie jem również. Patrzę na nią jak w zakłęta. Przychodzi mi taka myśl, że może ona jest jakąś wariatką, co związała ze szpitala i mnie sobie upatrzyła na kolejną ofiarę. I powinnem teraz uciekać precz stąd, zapłacić za siebie, Barmanowi powiedzieć, że fajna ostra dupa chce go poznać i spiżdzić stąd co sił. Lecz tego nie robię. Nie mam instynktu zwierzęcego, który ratuje ich przez wyniszczeniem gatunku. Siedzę i patrzę na nią, jej kieckę, jej nogi. Co będzie to będzie.

Ona to widzi, dopija swojego drinka. Czy wiesz, że nie jem również jajek?

Tego już nie wytrzymuję, gdyż pojmować takich nedorzecznych poglądów nie pojmuję. Mówię do niej, co ty, jesteś walnięta? Coś ci jajka złego zrobiły?

(...) Kamera start, dzień dobry państwu witamy bardzo, moje imię Alicja Burczyk i teraz właśnie dla państwa wymienię wszystkie produkty po promocyjnych cenach, jakie możemy kupić, by prowadzić nasze gospodarstwo domowe oszczędniej i funkcjonalniej. Gdyż nie jest tak, byśmy kupując jak leci wszystkie produkty, wrzucając je do koszyka bez ładu i składu, mogli prowadzić dom skromnie i bezpiecznie. Zakupy to kwestia, którą należy dokładnie przemyśleć, zaplanować, obliczyć wszystkie za i przeciw. Spójrzmy, to mięso pozornie wygląda dobrze, ale proszę tylko spojrzeć na cenę, jest horrendalnie wysoka, szczególnie że obok leży zupełnie podobne mięso, zaledwie kilka dni wcześniej wyprodukowane, ale jeszcze zupełnie dobre, i kosztuje połowę mniej. Zadanie pierwsze brzmi, które mięso wybierzesz, Andrzej, bo chyba nie okażesz się na tyle rozrzutny, by wybrać to droższe, a w rezultacie zapewne mniej smaczne. Nie musisz odpowiadać, ważne, że się zgadzasz. Teraz prowadzimy nasz wózek na następne pole na naszej planszy. (...) Przedstawia półkę z alkoholami. Zadanie brzmi: nie kupuj alkoholu, a tym bardziej papierosów. Jeśli kupisz, automatycznie tracisz nagrodę. Jeśli nie kupisz - przejdiesz do dalszych etapów, które są równie wspaniałe i pełne emocji jak ten. I wiemy, iż ty jako człowiek poważny i rozsądny, przychyłasz się do naszego wspólnego wyboru, kiedy to wszyscy na jedno hasło wstajemy i wszyscy razem wołamy głośno: alkohol precz, rozbij fabryki tytoniu, zakazać sprzedaży alkoholu powyżej pięciu procent zawartości, Andrzej, wierzysz się niespokojnie, na pewno nie możesz doczekać się następnej planszy, która przedstawia stoisko z owocami. Koszyk A, oto drogie owoce sprowadzane z odległego zachodu, pokryte grubą warstwą trujących pestycydów - zarazków roznoszonych przez Murzynów, którzy ich dotykali. A teraz spójrzmy do koszyka B, oto są owoce ruskie, nieco tańsze od naszych, ale są to sfałszowane podróbki, zapewne puste w środku. Natomiast w koszyku C prawdziwe polskie niedrogie owoce, nawet obite polskie jabłka smakują lepiej niż jabłka zgnitego zachodu, rzecz jasna, Andrzej jest roztropny i wybiera koszyk C, a to jest wspaniała, prawidłowa odpowiedź, zapewniając nam wszystkim dobrą wspólną zabawę w dalszych etapach teleturnieju!

Zmiedzy prześcieradeł, zmiedzy pergaminów wyłania się nikt inny jak Masłoska. Może wyciągnęła mnie właśnie z szuflady, otworzyła kopertę, położyła sobie na stół, siedzi i patrzy. A jak zacznę się ruszać, to ona we wrzask i trzaśnie mnie jakąś książką. Tyle jeszcze kojarzę, że to ona. Lecz muszę to powiedzieć, iż ona wygląda gorzej jeszcze ode mnie, o matko. Że ja wyglądam być może źle, to jest logika, związki przyczynowo skutkowe w przyrodzie, lecz dlaczego ona. Spuchnięta czajna tań, dostała pracę w Berlinie Zachodnim i robi się na Japonkę, ostatnio płacze sobie trochę w wolnych chwilach o mój wypadek, by bardziej wyglądać egzotycznie. Och, ależ mi cię żal, moja piękna, niby ty mi to wszystko wyrządziłaś, lecz ja ci przebaczam, porozumienie ponad podziałami, ja odeszłem, lecz to nie znaczy, iż ty również masz o to płakać, upijać się flegaminą i robić sobie zamach na kable. Siedź tu sobie, czytaj książeczkę, ja nie mam nic przeciwko, ja się jeszcze przesunę, jeszcze się ciebie spytam, co czytasz, choć w duszy serca gównu mnie to obchodzi.

A, takie jedno opracowanie lektur szkolnych, jak chcesz wiedzieć. Bo uczę się do poprawkowej - mówi wtem ona, co mnie szokuje do reszty, że tym bardziej zapominam już, w jakim mówiłem kiedyś języku.

Mogę ci nawet na głos poczytać, jak masz chęć - mówi ona, taka jest dobra, takie ma raptem dobre serce, dokarmia sikorki, ściera śliną wulgarne napisy w windzie, proszę proszę, niewidzialna ręka odbita z całej pety na mej twarzy. I ku memu zdziwieniu czyta mi w skrócie różne książki, czasem nawet ciekawe to są historie, cała Polska czyta dzieciom, a czy ty czytasz swemu dziecku? Szczególnie mnie rusza jedna taka baśń, co jeden gość, Zenon z imienia, dostaje w pysk kwasem na odlew, co za hardkor, myślę sobie, to pewnie gra wstępna, a potem jest już tylko bardziej, lecz tego już nie napisali, gdyż to było politycznie nierentownie. Ja staram się dawać Masłoskiej znaki kciukiem, czy dany bohater ma zginąć czy przeżyć, lecz ona zawsze na złość mi przeczyta inaczej niż ja chcę, co za niereformowalna cipa, ja bym był ją w stanie nawet podplącić, by tylko Zenon tamtej francy oddał po pysku, ale nie żadnym kwasem, lecz łomem i jeszcze ją zabił, by było po równo, a nie że jedna płeć jedzie na drugiej i kurwia ręka kurwią rękę myje. (...)

Potem są wiersze, super, jeszcze, jeszcze czytaj, Masłoska, co ci poeci napisali za listy protestacyjne do Boga, że na zdjęciach w prospekcje wszystko było pięknie, rany się goją i nie ma wypadków, a w rzeczywistości co, warunki sanitarne fatalne, brzydki hotel, na ścianach same kiczowate obrazy, zero gustu i niekompetentni przewodnicy. Jak urodziłem się z raną na froncie twarzy, to do tej pory się nie zarosła i powiem tyle, że jest tylko głębsza, mówię już tylko metaforą. I jak tu się wbije sanepid, to zamkną Panu cały ten szemrany interes, ubrudziłem sobie mankiety, ma żona zgubiła spinkę, żądam zwrotu kosztów i spotkamy się na sądzie.

Czesław Miłosz nadaje depeszę z Berkeley, Edward Stachura z nieodłączną gitarą, fotostory. Nic się nie dzieje, ale to bardzo ważne, weź podkreśl sobie na czerwono wszystkie ilustracje, to na pewno zdasz. Albo daj mi tę książkę, jak przeżyję, to sobie wytnę te obrazki, będę nosił w portfelu, jak mi się kiedyś zachce cię zarwać, to je

tylko wyjmę: cześć Dorota, ten, co kroczy w pelerynie, to mój jeden kuzyn - powiem. Wybiera się właśnie na bankiet do artystów, flirt i alkohole, jakbyś chciała się tam wbić, mogę cię mu przedstawić. O czym porozmawiamy, o ruchomych piaskach czy wzniosłych tęsknotach? Wiesz, mnie od urodzenia coś bolało w piersiach, czułem niepokój. Wreszcie jednego dnia zajrzałem sobie do gardła, a tam podwójne dno.

Serialnie, ci się wydaje, że ja jestem taki ot, wiesz, dwie ręce, dwie nogi, dzordż zmienia biegi, ci się zdaje, że mogłabyś mnie przerobić na grę komputerową. Trzy ciosy na krzyż, z kopa, z płata i podpalanie dzinsów, szukasz po mieście fety, bo kończy ci się poziom energii, a do następnego levelu musisz przelecieć jeszcze dwie panny i zabić cztery bezpańskie psy. Ci się zdaje, że załatwiłabyś to trzema żetonami i congratulations, we've got a winner, gwałtowne opady monet, możesz sobie kupić wszystko, co zobaczysz włącznie z wieszakiem, ladą i ekspedientką. Mówię wam, jakby Silny otworzył okno, to ja bym otworzyła drugie, jakby on ruszył uchem, to ja bym ruszyła lepiej, wklepywałam jego akta do maszyny i wiem wszystko, jego głębokość równa się długość jego przełyku, on zna dosłownie dwa słowa: nie i tak we wszystkich przypadkach, co i kurwa w różnych konfiguracjach.

Aus: *Wojna polsko-ruska pod flagą biało-czerwoną*,
Warszawa: Lampa i Iskra Boża 2002, S. 3, 7, 11f., 35f., 150f.

10.

Ewa Lipska: *Kiedy w moim kraju umiera wielki poeta*

Kiedy w moim kraju
umiera
wielki
poeta
zrywa się osierocony patrol pielgrzymów.

Na niebie dystych.
Rękopis zachodzącego słońca.

Poeta tropiony jest przez łapczywych krytyków. Podejrzliwych patriotów. Starannie skrojonych kochanków.

Legenda
którą widziano krążącą po okolicy nie ma już nic do dodania.

Do tego bezbożny upał i zdesperowany czas.

Nie wyjaśniona metafora w księgach metrykalnych.

Aus: 1999, Kraków: Wydawnictwo Literackie 1998, S.19

Agnieszka Frączek: *Byk jak byk* (Illustrationen von Jona Jung)

40

To nie koniec ptasiej tematyki. Wrócimy jeszcze do labędzia, ale żeby was nie znudzić, najpierw porozmawiamy o... misiach.

Misie

Grzegorz Gzegzółko
swoim zwyczajem
powtarza w kółko:
– Mi-się-wy-da-je...

Wydaje... misie?!
Z pluszu? Czy żywe?
No cóż, w kryzysie
wszystko możliwe...

41

Kiedy słyszysz: *Mi się wydaje*, to od razu mam ochotę zapytać: *Na co wydajesz te biedne misie?!* A jeśli ktoś pyta: *Mi się to podoba, a ci?*, to w ogóle się nie odzywam. Bo skoro słyszysz *ciwi*, to jestem *ciwi... cho*.

Cale zamieszanie stąd, że zaimków w formach skróconych (*mi*, *ci*, *mu*) nie powinno się stosować na początku zdania ani w innych pozycjach akcentowanych. Zamiast nich lepiej użyć dłuższych odpowiedników (*mnie*, *tobie*, *jemu*). Zachęcam więc do zastąpienia zdań *mi się wydaje*, *mi się podoba* poprawnymi *mnie się wydaje*, *mnie się podoba*.

Proszę panią!

Jedna pani drugiej pani
stanęła na butcie.
A ta druga z głośnym wrzaskiem
próbowała uciec.

Lecz ta pierwsza była ciężka
jak drogowy walec,
więc ta druga na ucieczkę
szans nie miała wcale.

Cóż... musiała się z tą pierwszą
podzielić kłopotem –
odezwała się nieśmiało,
wskazując swą stopę:

– **Proszę pani, proszę panią**
niezwykle uprzejmie,
niechże pani w wolnej chwili
stąd kopytko zdejmie.

– *Proszę pani... Proszę panią...* Po co dwa razy powtarzać to samo?
– Ktoś zapyta. A przecież *proszę pani* i *proszę panią* to wcale nie jest to samo!
Przy zwykłym zwracaniu się do nauczycielki, sprzedawczyni czy sąsiadki
należy stosować formułę *proszę pani* zamiast *proszę panią*.

34

Proszę pani, ale draka!
Janek żaby ma w gumiakach!!!

Natomiast formy *proszę panią* można używać wtedy, kiedy zamierza się
swoją rozmówczynią o coś poprosić. Na przykład:

Proszę panią o to, aby
zjadła pani cztery żaby.



35

Kiedy słyszę, że gdzieś *coś pisze*, od razu mam ochotę zapytać: na pewno *coś*? A nie *ktos*? Jakoś mi bowiem trudno wyobrazić sobie *coś* biegle w pisanlu...

Co pisze na płocie?

Czy ja dobrze słyszę?
Coś na płocie **pisze**?!
Toż to głupstwo całkowite!
Cosie wszak nie znają liter!

Zresztą... może ja się mylę?
Wokół jest dziwadeł tyle...

O, na przykład mój zegarek.
Umie bić i chodzi (w miarę),
mogłoby się więc przytrafić,
że i pisać też potrafi.

A... a może tam bazgroli
lewy kalosz cioci Joli?
Lub dziurawy, stary garnek
uchem pisze coś niezdarne?
Miotła?

Wrotka?
Gwóźdź?
Korkociąg?

Co ma do pisania pociąg?

Bo ostatnio w kółko słyszę,
że **coś pisze**.



Gdyby kalosz cioci Joli (lub jakkolwiek inny przedmiot) potrafił pisać, wyrażenie *co(ś) tu pisze* miałoby uzasadnienie. Ponieważ jednak nigdy nie widziałam piszącego kalosza, mioty ani wrotki, proponuję: mówmy *co(ś) tu jest napisane*, nie inaczej! Na przykład: *na płocie jest napisane głupia Kaśka*, zamiast: *na płocie pisze głupia Kaśka*.

Aus: *Byk jak byk*, Łódź: Literatura 2010

Robert Mazurek: *Manifest rencisty*

Świat, droga młodzieży, wyglądał kiedyś nieco inaczej. Nie budziła nas, dzisiejszych trzydziesto- i czterdziestolatków, telewizja śniadaniowa, przez co nie wiedzieliśmy o istnieniu otyłych karlic akrobatek, czipendelsów i kotów, które mówią brajlem. Budził nas radziecki budzik, który za nic w świecie nie chciał chodzić tak, jak mu hejnał z wieży mariackiej kazał. A jednak zażaliśmy do szkoły.

Na śniadanie jedliśmy kanapki z pasztetową, na święta - szynkę, która psuła się po dwóch dniach. Sery były - jeśli były - dwa: żółty i biały. Nazwy były równie umówne, jak ich ceny i kolory. Nikt nie jadł lunchu. Były drugie śniadania- kanapki starannie zapakowane przez mamy w papier śniadaniowy, który poddawano domowemu recyklingowi i jeśli się nie ubrudził, wykorzystywano go ponownie. Jadano też obiady: ziemniaki i tłuste sosy, kotlety. Mało warzyw i ryb. Na kluski mówiliśmy makaron, nie pasta, bo pastą smarowaliśmy chleb lub czyściliśmy buty. Nikt nie znał słowa cholestelor i jadł tyle jajek, ile chciał, a jednak nie umieraliśmy masowo na serce.

Nauczyciel, który potrafił przyłać linijką lub połamać wskaźnik na niejednej pupie, kazał nam wkuwać mnóstwo definicji i wzorów, nękał klasówkami i straszył widmem powtarzania klasy. Mimo to nie mieliśmy jakiegś nadzwyczajnej traumy. Szczerze mówiąc, nie znaleźliśmy tego słowa ani nie byliśmy pod opieką terapeuty. Nie uczyliśmy się angielskiego i nie chodziliśmy na balet. Żeby umówić się z kumplami na piłkę, nie dzwoniliśmy od nich wcześniej, tylko wpadaliśmy po nich do mieszkania albo darliśmy się pod oknami, żeby wyszli. Nie zabraniał nam tego nikt z TVN Style.

W owych czasach papier toaletowy występował głównie w parówkach i mortadeli, a proszek do prania prał ciuchy białe i kolorowe. Jeśli prał. Nie było kremów na dzień, na noc, na zimę i lato. Była nivea. Mimo to nie cuchnęliśmy, ani nie padaliśmy na dyzenterię. Byliśmy niemodnie ubrani, a jednak udawało nam się umówić z dziewczynami, które - nie wymawiając - też nie wiedziały, kto to Jaga Hupało.

Nasi starzy nie dzwoniли do nas na komórki i nigdy nie wiedzieli, gdzie naprawdę jesteśmy. Nie odwozili ani nie odprowadzali nas do szkół, odkąd skończyliśmy siedem lat. Jakimś cudem oni nie zeszli na serce, a mu nie padaliśmy ofiarą pedofili ani seryjnych morderców, a na źle oznakowanych przejściach dla pieszych nie rozjechały nas samochody. A przecież jakieś jednak jeździły. Nie robiliśmy sobie zdjęć do Naszej-klasy spod opery w Sydney ani spod piramid. Jeździliśmy na kolonie i obozy, zrzucaliśmy się na oranżadę w woreczku i ciastka. nie wiedzieliśmy, co to taniec z gwiazdami, Tusk, Kaczyński, emancypacja kobiet i prawa zwierząt.

Aus: *Dziennik*, 04.03.2008

13.

Wojciech Mann: *Gdy już ostatni raz*

Gdy już ostatni raz
Kurtyna się opuści wreszcie
To czas, najwyższy czas
Powiedzieć, co wypełnia serce
Przeżyłem życia szmat
Przeszedłem wzdłuż i wszerz świat cały
I wiesz, zrobiłem to tak, jak sam chciałem
Był błąd, no, może dwa
Nie takie znów, by drzeć szaty
Spełniałem swych marzeń moc i śmiałych snów, barwnych, skrzydlatych
Mych dróg zawily bieg, mój każdy krok zaplanowałem
I wiesz, przez cały czas, tak jak sam chciałem
Bywało, że łapałem kęs
Za duży, by dało się go zjeść
Lecz nawet, gdy było nie tak
Przełknąłem łzy, wypłułem jad
Niewiele mam, lecz płacę sam, tak zawsze chciałem
Był śmiech, miłość i płacz
Wiem też, co żal i co nienawiść
Lecz łzy obeschły już i wszystko mnie raczej bawi
To ja, to wszystko ja
I powiem wam tonem zuchwałym
"Patrzcie, to tylko ja, zawsze tak chciałem"
Bo czymże jest człowieka los
Jeśli nie sumą braw i trosk
Chciej prawdę swą wygarniać wprost, nie daj się lepić tak jak воск
Moje CV dowodzi, iż żyłem, jak chciałem
Tak właśnie chciałem

Übersetzung des Liedtextes *My way* aus dem Amerikanischen

Aldona Kopkiewicz

„Nie jesteś Vogue? To spierdalaj!” – to już niemalże obiegowe wśród fashion victims powiedzonko. Mój znajomy umieścił je w swoim profilu na gronie, by jak najdobitniej zaznaczyć swój stosunek do świata i ludzkości.

Grono to taka społeczność internetowa, gdzie poznaje się nowych ludzi lub podtrzymuje stare znajomości; jest to społeczność zamknięta – wstęp na zaproszenia, po to, by dostawali się tylko znajomi znajomych. Najbardziej lubiana opcja na gronie to profil użytkownicy, w którym należy wypełnić rodzaj kwestionariusza – kim się jest i czym się interesuje. Dobrze jest też umieścić swoje zdjęcia, zwłaszcza że w Photoshopie wszyscy jesteśmy piękni. Profil służy przede wszystkim autokreacji, przez niektórych zwanej lansem, a nie ma lepszej zabawy dla narcystycznej młodzieży niż autokreacja, no przecież. Stworzenie własnego profilu, czyli właściwie siebie w sieci, jest szczególnie ważne dla osób z grona fashion victims.

Fashion victims nie jest już zbyt modnym terminem, trochę się zużył, podobnie jak słówka trendy, jazzy i si, ale wygodnie go używać dla wyróżnienia grupy osób, które dużą część swego życia poświęcają temu, by modnie wyglądać. To jednak nie tylko zwykłe hobby. Fashion victim to rodzaj mentalności niewielkiej części młodej inteligencji, zwykle jeszcze studiującej, ale nie utożsamiającej się ani z tak zwaną subkulturą studencką, ani z klasycznym intelektualizmem. Raczej takiej, co wie, ale tego nie pokazuje, bo po co. Co znajdziemy w profilu fashion victim?

Na przykład moja przyjaciółka, cudowna, niezwykle stylowa i odczytana dyletantka, pisze o sobie „jestem elegant dada lolita gina lolobrigida”, bo trend na lolitę i dada jest zdecydowanie tak, tak samo jak zdecydowanie tak są grona, w których uczestniczy: o szpinaku, dla księżniczek, dla dandysów i pedalskie. Z kolei nasz przyjaciel, student wydziału komunikacji i dziennikarstwa mody w Londynie, klasyczny przykład ofiary mody, znaczy że dekadent i już tylko moda go kręci, pisze o sobie: „lubię modę, jestem moda”. Ponadto cytuje wypowiedź na swój temat, którą zamieściła na blogu inna fashion victim: „...jest wredny i zajebicie ubrany, więc po kilku minutach było jasne, że będę darzyła go wielkim uwielbieniem, o czym przekonała mnie tylko salwa złości na temat moich ubrań i butów, wystrzelona bez ostrzeżenia na kilka minut po poznaniu.” Taki opis to nie lada powód do dumy, bo na zewnątrz, obok modnych ubrań, obowiązują ironia i wredota. Wnętrze jest tylko dla wybranych.

Bosko w profilu napisał siebie pewien młodociany snob, a zarazem student filozofii i wielbiciel Baumana i Kołakowskiego; zawsze ubrany dobrze i za dużą kasę: „Ostatnio codzienność daje mi dowody, że jestem jednak protegowany przez....boga?:) Jestem nadęty, zarozumiały, gracz-kretecz, pełen sprzeczności, szpanu, ostentacyjnego blichtru, miłośnik konsumpcji, zatwardziały birbant,

hedonista, przewrażliwiony, zamyślony, przeważnie uśmiechnięty – emocjonalny terrorysta. *NIE JESTEM SYMPATYCZNY I NIE SZUKAM NOWYCH WRAŻEŃ* Gram w polo; bardzo szybko jeżdżę samochodem; nie lecę się z konsumpcyjnej obsesji; błyszczeć uwielbiam”.

Inny kolega już nie studiuje humanistycznie, będzie farmaceutą, ale czyta takie ilości książek, że niejedna studentka polonistyki wymięka. Poza tym ma ciągoty katolickie, mimo że pedał. Jak o sobie pisze? „Przez The Face okrzyknięty najtańszym kochankiem o najdroższym smaku... ID umieściło go w pierwszej dziesiątce najbardziej wpływowych gigolo świata... Człowiek o wybitnie frenetycznym charakterze, paradoksalnie hedonista i romantyk zarazem. Bezpardonowe monstrum imprezowe. Sam o sobie mówi, że jest nieśmiały i kocha swoich bliskich...”

No i ach, ta dzisiejsza młodzież to taka pełna sprzeczności. Niby wrażliwa i mądra, a chce sprawiać wrażenie, że wcale nie i że ma gdzieś wszystkie głębie i niepokoje, że nie warto, że poświęcić się można tylko czemuś absolutnie pustemu, próżnemu i nic nieznaczącemu – modzie, że wierzyć można tylko jednej biblii – magazynowi modowemu ID. Trąci to wszystko dekadencją i hedonizmem; cóż jednak innego zrobić, gdy żyjemy w czasach poczucia, że protest Vaneigema z „Rewolucji życia codziennego”: „Nie chcemy świata, w którym pewność, że nie umrzemy z głodu, jest okupiona ryzykiem śmierci z nudów”, mamy za sentymentalnie naiwny i zużyty. Jasne, każdy w burzliwej młodości wierzył w miłość, młodość, wolność i pokój. Ale wtedy miało się kilkanaście lat i używało wszystkich, zarezerwowanych podobno dla dorosłych, rozrywek. To były piękne czasy. Dziś, gdy ma się 20 lat i poczucie starości i że wszystko już było, nikomu nie chce się buntować przeciwko „skandaliczności egzystencji pozbawionej treści”, nad którą biadał Vaneigem. Resztkę sił można zużyć na imprezy i szopink, choć i one przestają budzić jakikolwiek entuzjazm. Ładnie ujęła to Endo w znanym rysunku modnej dziewczyny, która robiąc się przed wieczornym wyjściem, mówi do swego odbicia w lustrze „Nie chcę iść do klubu, nie chcę iść do klubu”.

Czy Nudę młodych, pięknych i bogatych okresu późnego kapitalizmu można porównywać z dandysowską l'Ennui? Zblazowany des Esseintes postanowił poświęcać się sprawom jak najbardziej bezużytecznym i aspołecznym, czyli sztuce – i to sztuce, której jedyną treścią była forma. Ubierał się elegancko i dystyngowanie, ale nigdy ostentacyjnie. Dandys nie obnosi się z modą. Jakiś czas temu mówiło się o enigmach mody, czyli że tylko inni modni widzą, że oto mają do czynienia z fashion victim, choć poziom ostentacyjności i ekstrawagancji zależy od sezonu – przecież nie wybiera się już jednego stylu na całe życie. Wilde pisał, że „Trzeba być dziełem sztuki albo ubierać się w dzieło sztuki”. Jasne, bo moda to sztuka. Ale dandys pokroju Wilde'a stawiał przede wszystkim na tworzenie siebie według własnej wizji. Postmoderna fashion victim postępuje zgoła inaczej – skoro może ubrać się, w co chce, i nikomu nie robi to różnicy, skoro nie czuje się już zbyt obciążona przymusem kostiumowym czy towarzyskim konwenansem, chętnie poddaje się dyktatowi mody i konwenansom wąskiego grona fashion victims. Przestrzega

kodeksu snoba, ogranicza się, ale imię ofiary nosi dumnie, bo padła ofiarą próżni, pustki i sztuki ubioru, z którą osiągnęła jedność. Nie dąży jednak do spełnienia: oczekiwanie na kolejny sezon budzi pożądanie, bo namiętność wywoływana przez towarowy fetyszym może osiągnąć niebywałe rozmiary.

Sezon to okazja to kolekcjonowania nowych ubrań, a więc i wrażeń; fashion victim nosi więc też znamię Baumanowskiego turysty. Ale nigdy nie okaże, jak bardzo kocha towar, przynajmniej nie publicznie. Okazywanie silnych emocji jest passe; chyba że emocje mają posmak wyraźnie kampowy: dozwolone wzruszanie się w operze i pochlipywanie na angielskich komediach romantycznych. Bo tak jak wartości mają tylko rzeczy bezwartościowe, tak gesty mają być puste, powściągliwe i chłodne - traktowanie życia poważnie jest dla fashion victims zbyt śmieszne. A nie ma być śmiesznie i tragicznie, ma być for fun. I olewa się system, który nas żywi. Jednak łoża szyderców chętnie poprze akcję charytatywną, bo charytatywność jest si, a poza tym mamy do czynienia z wrażliwą młodzieżą; może nawet zbyt wrażliwą, skoro tkliwe serduszko tak bardzo potrzebuje modowego pancerzyka?

Bo życie w ryzach snoba na dłuższą metę bywa okrutnie męczące, przecież ciągła autokreacja w granicach obowiązującego sezonu oznacza ciągłą samokontrolę. A granie pogardy dla spraw ważnych może się pomylić z prawdziwymi potrzebami. Nie będę jednak moralistką. To, że moja znajoma, która studiuje historię mody w Paryżu, napisała mi ostatnio, że chce w końcu mieć mądre studia, takie z prawdziwą wiedzą, z którą zostaje się profesorem, że już nie chce tylko o modzie – zwałam na karb jej wieku. W końcu ma biedaczka już 23 lata, znaczy 46 sezonów. Mogło się znudzić.

Aus: http://ritabaum.pl/archiwum/36-teksty/12753-aldona_kopkiewicz.html,
zuletzt abgerufen am 24.11.2010

15.

Blog

lato.....

zmieniamy trochę klimat, mamy przecież lato i stada zrobionych na wakacyjny blond samczyków wyległy na ulice miast.. Czuję się jak w galerii podziwiając sztukę zasadniczo nie do kupienia, tym bardziej że każde dzieło poza galerią (czytaj” ulicami miast) traci smak i staje się szare jak kwiat wyrwany z grządki.. Na przekór zasad hedonizmu lepiej nie posiadać i podziwiać niż posiadać i być znudzonym faktem dostępności czegoś niedostępnego.. Czar pryska jak bańka mydlana bo przecież porządamy tylko tego co nieosiągalne!!

www.palpatine.blog.pl, Eintrag vom 24.06.2009 um 18.53 Uhr,
zuletzt abgerufen am 24.11.2010